EMIGRACYA
LUDU POLSKIEGO DO NIEMIEC

NAPISAŁ

Ks. Jan Badeni T. J.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1889.

EMIGRACYA

LUDU POLSKIEGO DO NIEMIEC

NAPISAŁ

Ks. Jan Badeni T. J.

Odbitka z „Przeglądu Powszechnego“.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1889.

Nakładem redakcyi „Przeglądu powszechnego".

Dawno już nazwaliśmy się sami i inni nazwali nas narodem pielgrzymim; poeci obwołali nawet „pielgrzymstwo polskie duszą narodu polskiego“; wielu wespół z poetami mniemało — mniejsza o to, czy i o ile słusznie, — że pielgrzymowaniem tem, przez emigracyę, dojdziemy, niby żydzi na puszczy, „do ziemi świętej, ojczyzny wolnej“. Dziś nie istnieje emigracya jako przedstawicielka Polski, i nikt chyba nie nazwie „duszą narodu“ tych, którzy smutnymi losami, ciężką walką o byt przynagleni, opuścili ziemię ojczystą; przeciwnie nasuwa się coraz częściej i natarczywiej bolesne pytanie, czy wychodźcy ci nie są, w ogóle mówiąc, dla nas straceni; straceni nieraz już w drugiem, jeśli nie w pierwszem pokoleniu dla wiary, obyczaju, języka, nawet pamięci o ojczyźnie? Pytanie to tem ważniejsze i boleśniejsze, że dzisiejsze wychodźctwo, dokonywane nie w imię idei, ale w imię pieniędzy i chleba, nie ogranicza się na sferach wykształconych, związanych z krajem tradycyą, stosunkami, samą znajomością historyi, lecz obejmuje niemal wyłącznie lud polski; że zabiera nam nie setki, ale tysiące i dziesiątki tysięcy silnych ramion, polskich serc.

A gdzież, jak krwi za Napoleońskiej epopei, tak dziś potu nie przelewają polscy „wiarusi“ — wedle nazwy, którą sami lubią sobie dawać; polscy „niewolnicy“, wedle nazwy, którą nieraz i niestety! z zbyt wielką słusznością — czasem dla wzgardy, częściej z politowania — nadają im obcy!? W Stanach Zjednoczonych, licząc najsłabiej, pracuje pół miljona, a z tych b i e d u j e przynajmniej 450.000 Polaków; w Brazylii nie mało być musi również

wychodźców, kiedy dała się czuć potrzeba polskiego pisma, i w *Corytybie* wychodzi „Wiarus w Brazylii“; dla Polaków rozsypanych po Południowej Afryce, przeznaczone są dwa pisemka: „Trapista w Afryce“ i „List św. Józefa“; niemało też ziomków naszych w Australii, Bułgaryi, Anglii; niemało bodaj! polskich niewolnic, wywożonych przez sprytnych ajentów do Konstantynopola, na wschód daleki, do południowej Ameryki! Przed paru latami skarżył się lord *Brabazon* na wielkim meetingu, że fala polskich emigrantów zalewa cały okręg *Whitechapel*[1]. W tym samym mniej więcej czasie, tj. na wiosnę r. 1887 udało się władzy wejść na tropy interesu, prowadzonego z Budapesztu przez *Rosingera* i Spółkę, który w jednym tylko tygodniu uwiózł ze Lwowa i wysłał na wschód ośm dziewcząt[2]. Parę to przykładów, na chybił trafił przytoczonych. Od czasu do czasu wiadomości tego rodzaju dostają się do dziennikarskiej kroniki, a ileż razy nie dostają się, już nietylko do dziennikarskiej, ale w ogóle do niczyjej wiadomości; jak długo czasem trzeba czekać, nim podniesie się zasłona, ukrywająca oświęcimskie dramata, polowania na ludzi, formalny handel białymi niewolnikami w samym środku Europy!

Handel ten, choć w innym zapewne rodzaju, z nie takiem okrucieństwem i podłością, ale natomiast na wiele większą skalę przedsięwzięty, prowadzi od dłuższego już czasu mnogie zastępy robotników i robotnic głównie z Poznańskiego i Górnego Szląska, w znacznie mniejszej mierze z Prus Zachodnich, w najmniejszej z Galicyi i powiatów Królestwa z Prusami graniczących, w głąb niemieckiego cesarstwa, zwłaszcza do Westfalii, pruskiej Saksonii i samegoż Berlina. Robotnik polski, w domu nieraz leniwy, za granicą pod odpowiednim rygorem dokazuje cudów pracowitości i wytrwałości; cenią go też sobie zarządcy fabryk i kopalni, cenią ziemscy właściciele, berlińscy kupcy i przemysłowcy, a najrozmaitszego rodzaju ajenci i przedsiębiorcy wiedzą o tem dobrze i nie szczędzą starań, aby dostarczyć jak największej ilości silnych, małopłatnych, a wybornie się opłacających polskich rąk. W samej pruskiej Saksonii pracowało w ostatnich latach i pracuje od 80

---

[1] *Kuryer Poznański* r. 1887, nr. 101.
[2] *Dziennik polski* r. 1887, nr. 87.

do 100 tysięcy Polaków; w Meklenburgu i Westfalii znajduje się ich również kilkadziesiąt tysięcy; w Berlinie przynajmniej 30 tysięcy. Jak i dlaczego się tu dostali, jaka praca ich i losy, jakie życie religijne, moralne i narodowe; jak polską tę niejako wyspę, która w środku Niemiec się uformowała, można i należałoby ochraniać przed grożącym ze wszech stron zalewem niemczyzny i protestantyzmu, przed zobojętnieniem dla katolickiej wiary i obyczaju, ojczystej ziemi i języka.? Zupełnie dokładnej, wyczerpującej odpowiedzi na te tak ważne pytania udzielić dziś nie łatwo, w części i nie podobna; przypatrzmy się przynajmniej jakby z daleka tej wyspie, życiu i cierpieniom jej mieszkańców; spytajmy, idąc za własnemi ich opowiadaniami, za opowiadaniami i listami ludzi, którzy długie miesiące żyli między nimi i pracowali, jak się biedne rozbitki na wyspę tę dostały, jak im na niej nie wesoło żyć, jak tęskno do ojczystej ziemi, – a w tej tęsknocie nad rzekami Babilonu stojąc, pocieszają się tylko myślą o innej, lepszej ojczyźnie, z której ich nikt już i żadna potrzeba, żadna bieda nie wypędzi...

Jakoż główna przyczyna, pędząca wychodźców polskich w głąb Niemiec, jest ta sama, która ich pędzi za Atlantyk: chęć polepszenia swej doli; zebrania trochę pieniędzy na starość, na wiano; czasem poprostu głód. Do tych istotnych, wewnętrznych przyczyn, które zawsze smutną emigracyę mogą w pewnej mierze wytłumaczyć, a nawet w pewnych warunkach i okolicznościach zaliczać ją zmuszają do gorzkich, bardziej czasem, co prawda, od samej choroby niebezpiecznych lekarstw, — dołączyć należy inne zewnętrzne niejako przyczyny. Przyczyną taką na pierwszem miejscu to zgraja energicznych przedsiębiorców, sprytnych ajentów, którzy krążąc po Poznańskiem i Szląsku, łudzą wygórowanemi obietnicami, wysyłają całe karawany robotników na zachód i wyborne na tem robią interesa. Ajent — z nielicznymi wyjątkami żyd — pobiera od głowy, za samo namówienie do jazdy, talara aż do trzech, czasem, ale rzadko czterech i pięciu talarów, które następnie z zarobku ciężko pracujących robotników bywają potrącane. Jeśli więc np. jednemu lub paru ajentom uda się, jak np. udało się w połowie kwietnia b. r., wysłać nadzwyczajnym pociągiem 1000 osób i to przeważnie

z jednego tylko powiatu prudnickiego na Górnym Szląsku [1], domyśleć się łatwo, jaki to prawdziwie złoty interes. Nie szczędzą też werbownicy starań i pracy, i sami znów na swą rękę zaciągają ajentów i ajentki z miejscowej ludności. Oto np. list, wzywający pewną, znaną już widać dobrze naszym handlarzom, dziewczynę w *Krobskiem* do ponownego zajęcia takiej posady [2].

Altzendorf 4 stycznia 1889.

„Do Panny...

„Jak w roku przeszłym, tak i tą razą przesyłamy Ci listę, na której muszą się podpisać te dziewczęta, które w tym roku chcą znowu do nas wstąpić jako pracownice.

„Warunki są te same, co w roku przeszłym. Potrzebujemy stamtąd 90 osób i to, o ile możności, samych porządnych dziewczyn; mężatki i małe dziewczątka mogą być przyjęte tylko w razie koniecznym. Po przyjęciu potrzebnej ilości dziewczyn odeślij zaraz listę opatrzoną w podpisy. O wyjeździe stamtąd napiszemy później raz jeszcze; chwilowo chodzi nam o dowiedzenie się, ile dziewczyn zgodziło się na nasze warunki i chce przybyć na wiosnę. Oczekujemy o tem doniesienia w przeciągu ośmiu dni i nadmieniamy raz jeszcze, że za Twoje starania otrzymasz od osoby 50 fenigów“.

Uniżeni

Koelme, Luecke, Boeckelmann.

Przezorni autorowie tego okólnika, rozesłanego z pewnemi koniecznemi zmianami do licznych polskich wsi i miasteczek, nie dołączyli do swej odezwy warunków pracy i zapłaty, zadawalniając się wygodną i do niczego nieobowiązującą wzmianką, że są one „te same, co w roku przeszłym“. Zarabiając na każdym wychodźcy najmniej talara, odstępują z tego wspaniałomyślnie swym ajentom, na których składają właściwie całą pracę i odpowiedzialność, aż 50 fenigów! A ileż w drodze dopiero wyłudzą marek i talarów od biedaków, nieznających niemieckiego języka, nie wiedzących gdzie

[1] *Katolik* z 19 kwietnia 1889.

[2] *Kuryer Poznański* z 7 lutego 1889.

się obrócić w obcym kraju, między obcymi ludźmi, którzy w dodatku niechętnie patrzą na „polskich Chińczyków“, odbierających im wyższy zarobek?! To też wszyscy bez wyjątku, którzy sprawą emigracyi polskiej do Niemiec z obowiązku lub poświęcenia się zajmują, przestrzegają raz po raz: „Strzeżcie się popaść w ręce niesumiennych stręczarek i pokątnych ajentów!“ Tak, zarząd berlińskiego stowarzyszenia polskiego „Przytulisko“, zaklina i prosi w ogłoszonej w dziennikach odezwie:[1] „Odzywamy się do ojców, a mianowicie matek Polek, aby nie pozwalały swoim dzieciom, swoim córkom opuszczać stron rodzinnych, jeśli chcą uniknąć ich nieszczęścia, a nieraz i hańby... Niech opiekunowie, niech Wielebne Duchowieństwo zechce zwrócić większą jeszcze uwagę na tak lekkomyślną częstokroć i nierozsądną wędrówkę ku zachodowi“. Pewien znowu ksiądz z Saksonii posłał następne, smutnymi faktami poparte ostrzeżenie do jednej z gazet wrocławskich, prosząc wyraźnie pisma polskie, aby słowa jego starały się jak najszerzej rozpowszechnić[2]:

„Robotnicy szląscy i poznańscy powinni się mieć pilnie na baczności, aby nie wpadli w sidła ajentów, którzy im w Saksonii złote góry obiecują. Jak wielka jest niesumienność tych ajentów, o tem donosi pewna ultraliberalna gazeta drezdeńska w korespondencyi ze Zgorzelic: „W sobotę rano przybyło na tutejszy dworzec kolei żelaznej około stu polskich robotników w towarzystwie czterech ajentów z Wrocławia i pojechali dalej do Drezna. Ajenci nie dotrzymali snać uczynionych obietnic, bo jeszcze przed odjazdem pociągu zażądało kilkunastu wychodźców pieniędzy na podróż, mówiąc, że inaczej dalej nie pojadą. Ale prośby i groźby nic nie pomogły; ajenci wepchnęli biedaków siłą do wagonów i pociąg ruszył dalej. Czas byłby prawdziwie położyć raz koniec takiemu postępowaniu, które zbyt uderzająco przypomina handel niewolnikami“. „O całej tej, bądź co bądź ważnej sprawie — pisze dalej saski kapłan — mało dotąd z prasy naszej można się było dowiedzieć, dla tego wdzięczni jesteśmy liberalnemu, drezdeńskiemu dziennikowi, że kwestyę tę poruszył. Pewna dziewczyna z Górnego Szlą-

[1] *Kuryer Poznański* z 30 marca 1888.
[2] *Katolik* z 6 marca 1888.

ska opowiadała mi, że w Zgorzelicach spotkała się z gromadką, złożoną z 55 dziewcząt z Poznańskiego i Szląska, a prowadzoną przez jednego ajenta. Gdy się ich zapytała: Dokąd jedziecie? — odpowiedziały: „Ajent nam powiedział: do Lipska; więcej nic nie wiemy". — Rzeczy zaszły już tak daleko, że same gazety tu nie poradzą; obowiązkiem jest posłów szląskich poruszyć w sejmie tę kwestyę nowomodnego handlu niewolnikami i wezwać rząd, aby zwrócił czujniejsze oko, niż dotąd, na ajentów i ajentki. Prusy przecież nie mogą spokojnie patrzeć na to, jak niesumienni ajenci wyzyskują i oszukują rocznie tysiące pruskich poddanych. Praktycznie rzecz biorąc, byłoby może dobrze, aby utworzyło się dla Szląska i Poznańskiego stowarzyszenie, które zaopiekowałoby się polskimi robotnikami, szukającymi pracy w Saksonii; stowarzyszenie to zawiązaćby się mogło na wzór „Towarzystwa św. Rafała", mającego na celu opiekę nad katolickimi wychodźcami do Ameryki... Niech też gazety szląskie i poznańskie pouczają i przypominają wszystkim, którzy się tu wybierają na robotę, aby nie podpisywali kontraktów, które ich potem niemiłosiernie wiążą, chociaż ich nie zrozumieli. Nie ma zresztą żadnej racyi ani potrzeby dla robotników udających się do Saksonii, spisywania takich kontraktów; ajenci wybornie o tem wiedzą, a używają tego środka dla tego tylko, aby biedni, niedoświadczeni ludzie nie wymknęli się im przypadkiem z zastawionych sideł".

Niesumienność ajentów i niebezpieczeństwa związane z wędrówką na zachód stwierdziły kilkakrotnie i rządowe, pruskie organa. Tak np. landrat opolski wydał w lutym 1888 r., następne rozporządzenie do zależących od siebie sołtysów[1]: „Liczni robotnicy z naszego okręgu poszukują pracy w dalekich stronach, co przyniosło już za sobą wiele ujemnych skutków. Bardzo często słychać skargi, że uczynione przez ajentów obietnice co do płacy i żywności nie zostają dotrzymywane. Bardzo często gminy tutejsze płacić musiały za podróż i leczenie tych, którzy w Saksonii się rozchorowali; nadto oddalenie tylu młodych ludzi od rodzinnego domu, mieszkanie całemi masami po wspólnych kwaterach, źle oddziaływa

[1] *Katolik* z 6 marca 1888.

na dobre obyczaje. Dla tego każdy, który chce się udać w dalsze strony za zarobkiem, niech wprzód dokładnie się wywie i zapewni o rodzaju roboty, sposobie życia, wielkości zapłaty i t. p. Rodzice i przełożeni gmin niechaj nie dozwalają oddalać się, jak tylko ludziom zdrowym i statecznym, o których można mieć nadzieję, że potrafią się oprzeć szkodliwym wpływom, na które będą wystawieni".

Równie katolicki ksiądz, jak pruski landrat malują w niewesołych kolorach życie robotników polskich, zagnanych do niemieckich prowincyj. I jeden i drugi nie mówi: „Nie idźcie tam zupełnie", bo wie, że to nie raz wędrówka „za chlebem", w najściślejszem tego słowa znaczeniu; ale i jeden i drugi zachęca: „O ile możecie, nie idźcie", a jeśli już chcecie, czy zdawałoby się, musicie stoczyć tę ciężką walkę o życie, o byt, zapytajcie się wprzódy sami siebie, czy wasze ciało i dusza wyjdą z tej walki bez szwanku, zabezpieczajcie się, jak możecie, przed niebezpieczeństwami grożącemi waszemu zdrowiu, wierze, moralności!

Smutno już w tych wagonach, w których wędrowcy, cisnąc się jeden na drugiego, z troską w sercu, z żalem za rodziną, pędzą nieznaną drogą w obcy kraj. Przybyli wreszcie na miejsce przeznaczenia; ajent formuje oddział ze stu, dwustu lub więcej ludzi, i prowadzi do osobno dla robotników wystawionych olbrzymich koszar. Nazajutrz iść trzeba do pracy: kobiety przeważnie do uprawy lub kopania buraków, i do fabryk; mężczyźni znów naturalnie przeważnie do fabryk i kopalń. „Roboty — czytamy w cytowanej już odezwie berlińskiego *Przytuliska* — w ogóle ciężkie i trudne, tak, że zwłaszcza kobiety nie są nieraz w stanie im podołać". Słowa te znajdują najzupełniejsze potwierdzenie w listach samychże robotników; ich też proste opowiadania zaznajomią nas najwymowniej z pracą wychodźców naszych w Niemczech, z jej warunkami, z wielkością zarobku. Pewien górnik, pracujący w kopalni węgla w *Roedlitz* w Saksonii, tak o tem wszystkiem donosi[1]:

„Pilnie czytajcie, bracia Wiarusy, co wam piszę z Saksów. Przeszło trzydziestu nas tu pracuje w kopalni węgla, co pochodzimy z Górnego Szląska; najwięcej zostaliśmy przez chytrych ajen-

---

[1] *Katolik* z 30 marca 1888.

tów sprowadzeni; kilku nas zabrał przed dwoma laty (zatem w r. 1886) pewien dyrektor, pochodzący z Katowic. Przyobiecano nam dziennego zarobku na ośm godzin, 3 marki do 3·30 m.; a teraz już tak nisko płacą, że od 2 do 2·70 m. tylko zarobimy. Każą nam czasem robić nawet w niedzielę, ale to nie przyniesie żadnego błogosławieństwa... Miałbym wiele do pisania, ale moja ręka jest bardzo ciężka, bo też robota jest cztery razy tak ciężka jak w Szląsku, więc wszystkich ostrzegam, którzyby mieli zamiar do Saksów jechać do roboty. Wiele trafiłem tu naszych dziewczyn... choć one zarobią 1 mk. dziennie, to cóż im pozostanie, gdy wszystko bardzo drogo trzeba zapłacić. Nie jeden radby nazad powrócić ze żoną i dziećmi, ale nie ma na drogę. Robota przy kopaniu węgla bardzo ciężka, gdyż go strzelać nie śmią, jak na Szląsku, bo wtedy wszyscy nieszczęśliwi jak w r. 1884, gdy zostało 17 górników spalonych na tej samej kopalni, gdzie teraz my, przeszło 30 Szlązaków, pracujemy; a przytem tak gorąco, że wszyscy nago pracujemy, tylko czapka na głowie, a rzemyk na karku do powieszenia na nim lampy. Jeszcze raz wszystkich ostrzegam, aby nie wpadli w nieszczęście, a nie szukali w Saksach chleba o dwóch skórkach, gdyż tu jest o wiele droższy; a po drugie, możecie być szczęśliwi, że macie, co najważniejsze, wszędzie wasz Kościół i księży, którzy was nauczają wiary świętej. Pozdrawiam was bracia Górno-szlązacy;... tymczasem sobie życzymy, żeby nam Pan Bóg pomógł, nazad do Was powrócić".

Boleśniej jeszcze brzmi opowiadanie innego, również z Górnego Szląska pochodzącego górnika, który na krótki czas powrócił do stron swych rodzinnych. „Przed trzema latami, pisze w liście z lipca 1888 r.[1], wywędrowałem pierwszy raz do Saksonii i pracowałem w kopalni miedzi w *Mansfeld*. Tam pracowaliśmy 8 godzin, a zarabialiśmy 3·50 mr. do 3·80 mr.; górnicy zarabiali 4—5 mr Lecz kiedy się nas nazjeżdżało na parę set z Górnego Szląska, z Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich, wtenczas zarabialiśmy znowu licho. Nie jeden musiał znowu wyjechać... Na soli zarabiają jeszcze dzisiaj w *Stusfurcie* lepiej, aniżeli na Górnym Szląsku, a praca trwa 8 godzin, a robotnika żaden sztajger nie poniewiera... Ja przybywszy tu na Zielone Świątki do przyja-

[1] *Katolik* 31 lipca 1888.

cieli, myślałem, że pozostanę znowu u swoich. Ale, gdzie tam! nie mogłem pracy znaleść i muszę znowu uchodzić z ojczyzny, aby znaleść w obcej ziemi zatrudnienie". — To wyjątek z jednego listu; podobne ostrzeżenia i listy, adresowane to do rodziny, to do gazetek ludowych, bardzo liczne. Czasem zbyt uciśnięci, straciwszy cierpliwość, uciekają się nawet pod opiekę władzy. Tak np. dwie robotnice, pochodzące z Gliwic, wysłały z *Penig* pod *Rochlitz* na wiosnę r. 1887, obszerne pismo [1] do policyi gliwickiej, formalny akt oskarżenia przeciw swym chlebodawcom i dozorcom, którzy i je i inne robotnice traktują jak zwierzęta, odmawiają należnej płacy, nie pozwalają uczęszczać do kościoła...

Z ciężką pracą i materyalną nędzą łączy się stokroć gorsze niebezpieczeństwo i złe: zatrucie ducha, którego pierwszym symptomatem, zapomnienie lub wyrzeczenie się ojczystej mowy, za czem ślad w ślad idzie zazwyczaj utrata dobrych obyczajów, czasem i wiary. Nie wszyscy zapewne winni, co po polsku zapomnieli, lub zwolna zapominają; ale wszyscy bardzo pożałowania godni. Skarzą się też gorżko biedacy z początku, że się z Niemcami rozmówić nie mogą; potem, że łatwiej im już po niemiecku, niż po polsku mówić; choć sądząc z listów, nie mówią, a w każdym razie nieraz nie piszą ani po niemiecku, ani po polsku, ale jakimś trzecim, dla niewtajemniczonych niezrozumiałym językiem, którego, co prawda, wynalazek zawdzięczyć głównie należy dzisiejszemu szkolnemu systemowi w Prusach. Oto, co pisze w tej mierze pewien wykształceńszy widocznie i energiczniejszy od innych Górnoszlązak, pracujący w *Alsladen* w Westfalii [2]:

„Przebywam przez blisko dziewięć lat w tutejszej niemieckiej krainie, a mając kwaterników u siebie, widziałem, gdy dostaną listy od swoich ojców, albo od przyjacieli, to go żaden przeczytać nie potrafi. Ja także otrzymałem przed niejakimś czasem od mego brata, służącego przy wojsku list, ale go żaden w całym domu nie był w stanie przeczytać, bo to nie było ani po niemiecku, ani po polsku, i pomyślałem: cóż z tego, że teraz dziecko od szóstego do czternastego roku chodzi do szkoły, kiedy się za pomocą pisma

---

[1] *Kuryer Poznański* z 3 lipca 1887.

[2] *Katolik* z 21 sierpnia 1888.

z nikim porozumieć nie może... Wszak to trochę szwandrowania niemieckiego nie można nazwać mową. Ja mieszkając tu pomiędzy cudzoziemcami, widzę, co się tu z młodzieżą dzieje, która tu z Górnego Szląska przybywa. Niektórzy z nich chcąc napisać do domu sami nie potrafią, a innego nie mogąc znaleść, żeby im napisał, to wcale nic nie piszą do domu. Niejeden syn już dwa lata, albo więcej we świecie, a matka i ojciec nie wiedzą, gdzie się ich dziecko tuła, albo jeśli jeszcze żyje i nie mogą je napomnieć, we wierze utwierdzić, bo tu nie ma żadnego, coby je przestrzegł i od złego wstrzymał... Ja już pracuję blisko dziewięć lat w Niemczech, a jeszcze polskiego języka nie zapomniałem, a moje dziatki go także używają, chociaż wszystkie w Niemczech rodzone. Niejeden z naszych ziomków górnoszląskich, przebywszy tu dwa albo trzy lata, to mówi, że już dobrze po polsku nie potrafi, że mu się język szmatle; dzięki Bogu, tego o sobie powiedzieć nie mogę, bo nie tylko, że nic nie zapomniałem, ale nawet jeszcze lepiej się w języku polskim wydoskonaliłem, bo pilnie czytam polskie pisma i gazety. Ach! jakby się serce moje rozradowało, kochani bracia i siostry górnoszląskie, gdybym z wami mógł zaśpiewać razem np. „Witaj Królowo, Matko litości“, lub inną pieśń, bo tu chociaż w kościele z Niemcami śpiewam niemiecką pieśń, to serce tego nie czuje i pozostaje obojętne“.

W innym tonie przemawia czupurny jakiś junak z Saksonii, który zbyt idealistycznie, z zapomnianem już dziś gdzie indziej optymizmem, na świat się patrząc, zapomina, że nie wszystko i wszędzie dziś możliwe, co się zgadza z rozumem, z prostą sprawiedliwością, zapomina, że dawno znani z przysłowia sędziowie z Berlina wyjechali[1]: „Mają słuszność Niemcy, gdy się z nas wyśmiewają... Oni inaczej radzą o sobie. Gdy przyjdą w nasze strony, to muszą mieć zaraz niemieckie szkoły, a kiedy Polacy przyjdą tutaj, to się żadne dziecko polskiej szkoły nie doczeka, ani też Polacy nie mają tyle odwagi takiej szkoły żądać, iżby ich dzieci w niej rozumiały. Polak jest i pozostanie ciemnym w głowie i musi płacić za niezrozumiałe ćwiczenia, a dać dzieci swoje bić niepotrzebnie, tylko z tej przyczyny, iż nie mogą cudzego języka pojąć.

---

[1] *Katolik* z 18 września.

Trzebaby takim panom zawsze odważnie się pokazać, iść do nich, po polsku to przedstawić, iż tak nie idzie, a kiedy kto powie: *Ich verstehe Sie nicht*, to mu odpowiedzieć: *Ja też nie*. To będziemy widzieć kto będzie głupszy; ten co zrozumiał, czy ten co wcale nie zrozumiał. Ale to trzeba wszystko zrobić bez djabelskiego pomocnika-wódki, w największej trzeźwości i spokoju. Może mi kto odpowie: To nie idzie, taka rada głupia z Niemcem się w ten sposób rozmawiać. Dobrze, ale jakoż robią Niemcy, czy oni do ciebie po polsku gadają, jak do ciebie przychodzą? Nie, zawsze po niemiecku i toż z tej przyczyny oni są nad nami. Gdybyśmy także zawsze ino po polsku z nimi mówili, toby się oni prędzej musieli nauczyć polskiej mowy, jak my niemieckiej, bo oni są uczonymi, a my, nie uczonymi. Oni chodzili do gimnazyów, a my — tylko do wiejskiej; niejeden z nas wcale do żadnej szkoły. A któż się teraz może i musi prędzej czego nauczyć: uczony albo nieuczony? Widzisz Polaku, kiedy ty powiesz: Ja nie rozumię po niemiecku, to tobie nic nie szkodzi i nie potrzebujesz się wstydzić, boś ty nie chodził do wysokich szkół; ale kiedy taki uczony, niech będzie kto chce, powie: *Ich versteh' nicht*, to sobie ty możesz pomyśleć: No! toś mi ty uczony, kiedy ani prostego chłopa nie możesz zrozumieć! A któż się potem musi wstydzić: Uczony, czy nieuczony?“

Więc i w głębi Niemiec między polskimi górnikami i wyrobnikami dwa widoczne odcienia: i tutaj biali i czerwoni, którzy równą podobną miłość czują dla tego, co im całą niejako ojczyznę przedstawia, dla rodzinnego języka; a choć innymi idą drogami: jedni wytrawniej niejako, drudzy goręcej, mniej rachując się z okolicznościami, wśród których żyją, miłość tę swą objawiają, — to na szczęście na niechętne stronnictwa jeszcze się nie podzielili, nie kłócą się jeszcze, kto lepiej swój język kocha; nie słychać okrzyków: Wstyd egoistom! — wstyd szaleńcom! Co rzeczywiście i wstydzi i smuci, to, że w środku między owymi białymi i czerwonymi znajduje się pewna liczba szarych — ludzi nieraz dobrych, ale słabych, lękliwych, w trudnych warunkach zostających, którzy dziś po polsku już prawie nie umieją, lub co gorzej, mniej chętnie używają rodzinnej swej mowy i chełpią się z tego, że się trochę po niemiecku poduczyli; a dzieci ich za lat parę, kilkanaście, kto

wie, czy się z tego chełpić nie będą, że mówią wyłącznie językiem niemieckim, że zrównali się w tym względzie z swymi dozorcami i panami. Dziś już dzięki niemczącemu na zabój systemowi szkolnemu, listy pisane po polsku, ale zgłoskami gockiemi lub dziwną mieszaniną liter łacińskich i niemieckich, nie należą do rzadkości. Prawda, że pożal się Boże! jaka to polszczyzna; i uszy i serce boli, a nie tylko czytających, ale nieraz i samych piszących. Żalą się oni, jak w liście do „Wielkopolanina" żali się pewien młody Polak, który będąc w Niemczech w wojsku, po niemiecku się nie nauczył, a po polsku zapomniał[1]:

„Jak *ja*[2] *s*ei nei *mam* M*a*rkocic, ze tu ludze my muwjo: tosc ty nei jezdes Pol*a*kom, tylko Neimcym; po polsku nei umisz dopze gadasc. O koch*ana* red*a*kcya, *jaka* to z*a*losc co ja *mam* ze Ojcec Dz*a*dek i pr*a* Dz*a*dek nej umjeli po nejmecku *a ja* to po Polsku nei mogę".

Ten „Pul Poli*a*k pul Neimjesc", jak sam się podpisał, poznał swą biedę i zaradzić jej pragnie, czytając polskie gazetki i książki „co Dzei*n* *a* jy choc Godzyn*e* j*a*k nei*m*a dłuzy casu". To też list jego zrozumieć przynajmniej można; trudniej dopytać się sensu w listach paru innych Polaków, którzy sami podobno nie rozumieją i nie czują żałości, „że po polsku nie mogą", ale dlatego właśnie tem bardziej pożałowania są godni.

„Dos*ch* *v*as *naj*tbsod posdravam vystich, — pisze jeden, — vesbat Bria*d*a schostry Muter soms*a*dov psocieli; dosch vam doje*m* do vodomości, isech *s*am *st*rovi jescz smakuje boch sam jest strovschi jak iech vdoma pęł asam novyko *n*ima jeny *v*systko stare[3]...

Takim, i gorszym, mniej zrozumiałym językiem napisanych listów, wiele możnaby przytoczyć; ale i tych parę przykładów wystarczy podobno, aby powtórzyć całem sercem z poczciwym Górnoszlązakiem, pracującym w Westfalskich kopalniach[4]: „Kochani bracia i siostry, pielęgnujcie wy przynajmniej ten język ojczysty teraz w domu, żeby dzieci, gdy wyjdą ze szokły, aby tym językiem

---

[1] *Kuryer Poznański* z 9 kwietnia 1889.

[2] Litery drukowane kursywą, są w oryginale pisane literami niemieckiemi.

[3] *Katolik* z 15 maja 1888.

[4] *Katolik* z 21 sierpnia 1888.

porozumieć się mogły z wami, bo z tego co się w szkole nauczą nie wiele im zostanie, a jakby jeszcze i ojczysty język zapomniały, to nie wiem, jakby się z wami rozmówiły“...

Jak uchronić można, jak uchrania od zaguby, jeśli już nie od skażenia, pewna przynajmniej liczba wychodźców polskich w Niemczech, skarb rodzinnego języka? Przez czytanie polskich gazetek i książeczek; przez rozsiane już dziś po Niemczech polskie stowarzyszenia i organizowane przez nie uroczystości, zebrania, zabawy. Chęć do czytania musi być wielka, kiedy w *Eisleben* powstało przed dwoma latami osobne, dwa razy tygodniowo wychodzące pisemko „Górnik“, i strat, zdaje się, nie ponosi. Nadto idzie w te strony dużo szląskich i poznańskich gazetek ludowych, a przyjęcia i szacunku, jakiego gazetki te na bibulastym papierze, przetartemi czcionkami drukowane tutaj doznają, pozazdrościćby im mógł niejeden wielki i poważny lwowski lub krakowski organ. „Radzę wam bracia, napomina górnoszląski robotnik, pracujący w *Lindenhorst* w Westfalii [1], abyście się mocno wzięli do czytania gazet katolickich, aby was nie wyśmiano i nie poniżono wśród innych narodów. Kto nie chce słuchać księdza, ani redaktora, albo katolickiej gazety, ten zostanie głupim... O tych Niemcach sam się przekonałem, że z gazet wszystkiego się nauczyli. A więc i jam się też pilnie postarał i dałem sobie przysłać „Katolika“ i mówiłem sam do siebie: to nie prawda, to nie może być, żeby Niemiec był mędrszy, jak Polak. I tak się prawdą wykazało, bo już nie wiele do trzech lat brakuje, jak „Katolika“ czytam i jestem z niego kontent; i czytam teraz też nasze nowo zbudowane przez redakcyę „Katolika“ pismo, pod tytułem „Światło“. Także już od początku abonuję i czuję sam, żem jest inny człowiek jak przedtem i nie potrzebuję się więcej Niemcom przysłuchiwać, bo już to samo wiem i jestem mądry w każdej sprawie... Tylko przy czytaniu też trzeba rozważać i z każdego słowa wziąść naukę. Mnie się zda teraz, że gdybym czytać zaprzestał, tobym też i żyć zaprzestać musiał i dla tego choćby „Katolik“ trzy marki kosztował na kwartał, a „Światło“ też, daję piśmiennie, że podwiela mi Pan Bóg życia nie przemieni, to „Katolika“ nie zaniecham, bo „Katolik“ to jest nasz

[1] *Katolik* z 13 stycznia 1888.

górnoszląski apostoł, bo on odbiera człowiekowi lekkomyślność, a da mu inny rozum doskonały do wszystkiego, co jest na świecie. A tu niektóry człowiek, ciemny jak lampa bez oleju, gdy go drugi namawia do czytania, to mówi, że on jest mądry dosyć!...“

Inny górnik, również pracujący w Westfalii, w kopalni węgla, podobnież opowiada i napomina[1]: „Mamy tu dobrą sposobność do czytania gazet i książek pożytecznych, ale tego właśnie brak pomiędzy nami i zamiast oświaty szerzy się pijaństwo i lekceważenie religii. Zaniechajmy wódki, a sprowadźmy sobie pożyteczne książki; zamiast wódki na stole (co niestety! bardzo często u nas Polaków trafić można), niech tam będzie na tem miejscu dobra książka, a zakwitnie pomiędzy nami inne życie“.

Westfalscy nasi korespondenci, a wespół z nimi i saksońscy, szlachetnym zapałem ożywieni, nie tają niezadowolenia, że towarzysze ich tak mało czytają, tak w nielicznych egzemplarzach sprowadzają sobie polskie gazetki i książeczki. Dla nas i to pociechą, że z pośrodka samychże robotników odzywają się takie głosy niezadowolenia; że są między nimi nietylko już tacy — bo tych bądź co bądź znaczna liczba — którzy pisma polskie i pilnie czytają i regularnie za nie płacą, ale i tacy, którzy poczuwają się do obowiązku zasilania tych pism swemi sprawozdaniami, rozszerzania ich w najbliższem swem kółku. Do obudzenia tej miłości dla polskich pism, a biorąc rzeczy ogólniej i z wyższego punktu widzenia, do utrzymania, czasem i do obudzenia należnej miłości dla rodzinnego języka, przyczyniają się również nie mało założone już i wciąż zakładające się po różnych miastach i miasteczkach, fabrykach i kopalniach, polskie stowarzyszenia. I kusić się trudno, nietylko już o wyczerpującą historyę, ale i o podanie jakkolwiek dokładnej cyfry tych stowarzyszeń: wiele z nich żyje „życiem motyla, nie dłużej“; niektórym zadaje przedwczesną śmierć już na pierwszem lub drugiem zebraniu nieszczęsne *veto*, i to nie koniecznie rządowe, ale nasze polskie *veto*; inne, przeżywszy lat parę, rozpływają się jakoś same w nicość, a choć nikt urzędownie ich śmierci nie sprawdził, to pewna, że nie istnieją; inne jeszcze istnieją, ale zasklepione

---

[1] *Katolik* z 27 sierpnia 1889.

w swej skorupce, na szerszy świat boją się głowy pokazać; — a tak o reszcie dopiero, do żadnej z powyższych kategoryj nie należących, można głównie ze sprawozdań ogłaszanych po dziennikach, jakąś powziąść wiadomość.

Najwięcej z natury rzeczy stowarzyszeń polskich utworzyło się w Berlinie, bo tu Polaków najwięcej — od 30 do 40 tysięcy — w jednem ognisku zgromadzonych. Istnieje tu: „Towarzystwo polsko-katolickie“, założone w r. 1887 Towarzystwo „Stella“, „Towarzystwo „Obywateli polskich w Berlinie“, „Sokół polski“, „Przytulisko“, Towarzystwo „Polek“, z początkiem bieżącego roku założony „Piast“, Towarzystwo „Przemysłowców polskich“. Z wydanego za rok 1888 sprawozdania *Towarzystw Przemysłowych* dowiadujemy się, że „Towarzystwo polsko katolickie“ w Berlinie liczyło w roku tym 162 członków; „Towarzystwo przemysłowców polskich“ w Berlinie 115 członków; „Towarzystwo polskie“ w Kolonii 28 członków; Drezdeńskie „Towarzystwo przemysłowców polskich“ 27 członków, Lipskie 19; Kamienieckie Towarzystwo „Jedność“ około 15. Wreszcie istniało jeszcze w Ahlsdorf w prowincyi saskiej polskie „Towarzystwo robotników katolickich“, Towarzystwo „Nadzieja“ w Hamburgu; Towarzystwo św. Tadeusza w Gerresheim pod Düsseldorfem; istniały bezwątpienia i inne, ale o tych i śladu trudno dopytać.

Ogólny cel wszystkich tych stowarzyszeń: utrzymywanie narodowego ducha i łączności między rodakami, udzielanie moralnego i materyalnego ratunku nieprzezornym, oszukanym, dotkniętym chorobą lub nędzą wychodźcom. Cel ten starały się zarządy stowarzyszeń osiągnąć za pomocą składek i wkładek, peryodycznych odczytów, prenumerowania dla członków polskich pism, i urządzania z polskich książek złożonych biblioteczek, teatrów amatorskich, wycieczek, zabaw z tańcami i śpiewami. Tak np. berlińskie „Przytulisko“ urządziło 1 września b. r. zabawę, w czasie której amatorowie odegrali sztuki: „Żyd w beczce“, „Złoty Cielec“, i „Piosnka Wujaszka“ a następnie wespół z słuchaczami wesoło gwarzyli i tańczyli. Podobne, również z teatrem amatorskim połączone zebranie, miało miejsce i roku zeszłego. Z dochodów z tych zabaw, z wkładek członków i z składek dobroczyńców, utrzymuje „Przytulisko“

osobne mieszkanie [1], w którem biedą dotkniętym rodakom dają bezpłatnie przez dni trzy nocleg, śniadanie, obiad i kolacyę, a w razie uznanej przez zarząd potrzeby, wyprawia ich na swój koszt do stron rodzinnych. W r. 1888 udzieliło „Przytulisko" wsparcia 270 mężczyznom i 10 kobietom ze wszystkich dzielnic Polski; noclegów udzieliło 695, śniadań 664, obiadów 422, kolacyj 570; dało trzem nędzarzom najpotrzebniejszą odzież; urządziło dla berlińskich biedaków gwiazdkę i święcone; odesłało w części swem kosztem, w części za swem staraniem 17 osób do kraju. — Członkowie Towarzystwa „Polsko-katolickiego" w Berlinie [2] zebrali się w drugiem półroczu 1888 r. na 22 zwyczajnych posiedzeń, jedno półroczne, jedno kwartalne; kilkanaście zajmujących odczytów uprzyjemniło i dodało wartości tym posiedzeniom. Nadto „Towarzystwo" urządziło cztery zabawy i wycieczki, wspólną wilię. Biblioteka „Towarzystwa" składa się z 948 dzieł. — „Towarzystwo Obywateli polskich" w Berlinie zajęło się w ostatnich miesiącach szczególnie biedną polską dziatwą, i gromadzi około sto polskich chłopców i dziewczyn w wynajętym przez siebie ogródku, zachęca do ochoczej zabawy, uczy ich polskich pieśni, miłości ojczystej wiary i mowy. — Towarzystwo „Stella" przed dwoma dopiero latami, jak wspomnieliśmy, powstałe, urządziło w roku zeszłym trzy tańczące zabawy, jedno amatorskie przedstawienie, kilkanaście odczytów dla członków; w bibliotece znajdowało się po przeszło roku istnienia tylko 25 książek. Hamburgskie Towarzystwo „Nadzieja", miało na początku bieżącego roku, własnych książek tylko 10, pożyczonych od poznańskiego Towarzystwa Czytelni ludowych, książek 60; członków liczyło 35; wspólne zebrania odbywają się co niedziela. „Towarzystwo polskie" w Kolonii obchodziło bardzo uroczyście w maju b. r. piątą rocznicę swego założenia śpiewami i mowami, teatrem amatorskim. Członkowie zbierają się raz na tydzień na posiedzenia; czy na posiedzeniach bywają jakie odczyty, wielu Towarzystwo liczy członków, wiele zebrało książek — o tem

---

[1] Sprawozdanie roczne z czynności Towarzystwa „Przytulisko" w Berlinie za rok 1888. *Kuryer Poznański* z 2 kwietnia 1889.

[2] Sprawozdanie z drugiego półrocza Towarzystwa „Polsko-katolickiego" w Berlinie, za rok 1888. *Kuryer poznański* z 20 lutego 1889.

z pilnie przeszukiwanych dzienników i dzienniczków poznańskich i szląskich, napróżno staraliśmy się zasięgnąć języka.

Suche to cyfry, nudne, powtarzające się w kółko szczegóły; ale kto rzeczywiście pragnie się zapoznać z życiem naszych wychodźców w Niemczech, temu cyfr tych i szczegółów omijać nie wolno, ten żałować musi, że ich stosunkowo tak mało, i że przeto tak niedostateczny z nich utworzyć sobie można obraz istności i działalności stowarzyszeń polskich w Niemczech. Nie zajęły one może jeszcze roli, jakąby zająć mogły; w każdym razie i pessymista przyznać musi, że mnożą się i, co ważniejsza, rozwijają, a ani wątpić, że jeśli zdobędą sobie, jak zdobyć powinny, zainteresowanie i uczynną pomoc nietylko w jednej, lecz w miarę możności we wszystkich polskich dzielnicach, rozwijać się będą o wiele szybszym i pewniejszym krokiem.

Gazety i stowarzyszenia polskie starają się przedewszystkiem o utrzymanie narodowości, języka; wielkie i cenne to dobra, lecz prócz nich strzec i pilnie chronić muszą wychodźcy innych, z dobrami temi ściśle zresztą związanych, a wyższych jeszcze i zacniejszych skarbów: moralności i wiary. Skarby te, będące zdrowiem i życiem duszy — do których przechowania mogą zapewne gazety i stowarzyszenia w pewnej mierze dopomóc i dopomagają, ale same bądź co bądź uchować ich nie są w stanie — narażone są niestety! w westfalskich kopalniach, w berlińskich fabrykach, w saksońskich folwarkach, na większe bodaj niebezpieczeństwa, niż zdrowie ciała, język, narodowość. Niebezpieczeństwo to czują nieraz najlepiej sami wychodźcy; trapią się niem, rodaków i przyjaciół przed niem ostrzegają. „Katolicy Polacy, zaklina berliński korespondent *Katolika* [1], nie przychodźcie do Berlina!... Smutnie tu stoi z wiarą świętą, ludzie większą częścią żyją, jakby Boga nie było..." Kilkuset polskich robotników w *Gelsenkirchen* w Westfalii, zebrało się w marcu b. r. na wspólną naradę nad dotkliwym brakiem religijnej opieki, dotkliwym zwłaszcza i groźnym w obec niezmordowanej agitacyi socyalistów, którzy obecnie z szczególnem zamiłowaniem zastawiają sidła na polskich wychodźców. Zgromadzeni uchwalili wysłać petycyę do zarządu kościelnego i do

[1] *Katolik* z 7 sierpnia 1888.

biskupa z prośbą o księdza, władającego językiem polskim. Taką samą prośbę wysłali robotnicy pracujący w *Oelsnitz* w Saksonii do księcia-biskupa Wrocławskiego: „niechby przynajmniej kapłan polski, błagają [1], przyjechał na czas wielkanocny, bo inaczej wielu z nas, którzy po niemiecku nie umiemy, nie możemy się wyspowiadać i zadość uczynić potrzebom naszej duszy“.

Książe-Biskup Wrocławski odpowiedział z żalem, tak na tę, jak na z innych miejscowości zanoszone prośby, że niestety! i w własnej jego dyecezyi wielki brak księży, i dlatego radzi udać się do innych biskupów, najlepiej może do księcia-biskupa krakowskiego. Istotnie tak we wrocławskiej jak we wszystkich pruskich dyecezyach z ludnością polską, liczba księży — dzięki w znacznej części kulturkampfowi — jest o wiele, bardzo o wiele za szczupłą. Tak, kiedy np. w dyecezyi monasterskiej przypada jeden ksiądz na 600 wiernych, w dyecezyi hildesheimskiej jeden ksiądz na 560 wiernych; to w archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej, i w dyecezyi chełmińskiej przypada jeden ksiądz na 1600 dusz; w dyecezyi wrocławskiej jeden ksiądz na 2000 dusz; w niektórych parafiach, jak np. św. Marcina i św. Wojciecha w Poznaniu jeden ksiądz na pięć do sześciu tysięcy wiernych [2]. Cyfry te tłumaczą dostatecznie, dla czego księża z zaboru pruskiego nie mogą pospieszyć z pożądaną pomocą swym rodakom na zachodnich kresach. A jednak pomocy tej, pomocy szybkiej potrzeba konieczna, jeżeli — jak to już np. w Berlinie zbyt smutne doświadczenie okazało — nie kilkaset, ale kilka co najmniej tysięcy rocznie nieszczęśliwych wychodźców nie ma zstępować — jak zstępuje dotąd — na najniższy stopień, na którem stoją ludzie, co z występku żyją; jeżeli ogółowi wychodźców, jeśli nie zapewnionem, to w miarę możności zabezpieczonem być ma imię katolików, Polaków, ludzi uczciwych...

Od pięciu mniej więcej lat zajął się robotnikami polskimi w Westfalii gorliwy kapłan z dyecezyi chełmińskiej, *ks. Józef Szotowski*; praca jego przyniosła piękne a obfite owoce, ale jeden

---

[1] *Katolik* z 19 marca 1889.

[2] Cyfry te wyjęte są ze statystyki duchowieństwa z końca 1887 r.; od tego jednak czasu nie wiele się, a raczej nic na dobre nie zmieniło.

człowiek, choćby nadludzkiem poświęceniem ożywiony, sam olbrzymiemu zadaniu sprostać, na wielu miejscach odrazu być nie mógł. Zacnemu misyonarzowi przyszło w pomoc przed dwoma laty kilku Franciszkanów, umiejących po polsku. Mniej więcej w tym samym czasie udało się i do Westfalii i do Saksonii paru innych kapłanów, z których jeden, choć rodowity Berlińczyk, zupełnie dobrze włada językiem polskim. Objeżdżając z kolei wsi i miasteczka, w których Polacy liczniej są zgromadzeni, głosili im słowo Boże, oczyszczali i wzmacniali Sakramentami, starali się o usunięcie pokus ciągnących do złego, o sprowadzenie i utrwalenie na drodze cnoty. Rząd pruski, oddać mu należy tę sprawiedliwość, nietylko nie stawiał przeszkód w apostolskiej tej wędrówce, lecz przeciwnie chętnem ją widział okiem, a w pewnych granicach dopomagał nawet misyonarzom, upatrując w nich nie bez słuszności, najlepszych sprzymierzeńców w walce z socyalizmem; mówiąc może sobie, że więzienia i innego rodzaju domy i tak zbyt już przepełnione, i że nie zaszkodzi temu przepełnieniu pewną tamę położyć. Obraz apostolskiej takiej wyprawy w głąb Niemiec, podjętej w roku zeszłym i bieżącym, obraz, nakreślony wedle opowiadań i listów jednego z misyonarzów, dać nam może najlepsze wyobrażenie o potrzebach i biedach, walkach i niebezpieczeństwach, słowem o całem życiu naszych niemieckich wychodźców.

Środkowym niejako punktem, z którego misyonarz nasz na wszystkie strony dalsze podejmował wycieczki, była *Helbra* przy *Eisleben*; w samej tej zresztą miejscowości roboty nie brakowało, bo pracuje tu około 2000, a w parafii należącej do *Helbry* do 5000 Polaków. W trzech latach odbyło się tu 300 ślubów polskich, w ostatnim roku (1888), trzysta chrztów. Kościół niewielki, nie o wiele większy, niż np. św. Barbary w Krakowie, nie mógł pomieścić wszystkich, którzy tłumnie cisnęli się na kazania, do konfesyonałów. Proboszcz miejscowy, serdecznie od Polaków kochany, dla Polaków tylko niejako żyje; trudno też opisać, jak wespół z nimi cieszył się z przybycia mówiącego po polsku księdza. Gdy ksiądz ten pewnej niedzieli po niemieckiej nauce zapowiedział: „Teraz będzie kazanie polskie“, wyszło najwyżej sto osób; wszyscy inni zostali. W *Stetten*, trzy mile od *Eisleben*, gdzie nabożeństwo

trzeba było urządzić w miejscowej sali balowej, wszyscy katolicy aż do jednego, wyłącznie Polacy.

W Helbrze rano i wieczór głosił misyonarz kazanie; w *Eisleben*, ojczyźnie Lutra, trzeba było powiedzieć jednej tylko niedzieli dwa kazania niemieckie i trzy polskie; w *Bernburgu* w przeciągu trzech dni jedenaście kazań polskich, a jedno niemieckie. Ale nie ciężko słowo Boże głosić, gdzie tak widocznie łakną go i pragną. Czasem ledwie kaznodzieja na ambonie się okazał i jeszcze słowa przemówić nie zdołał, a już witano go płaczem i jękiem. Płacz wzrastał, gdy z ambony, z której po raz pierwszy szło między lud zgromadzony polskie słowo, rozległo się pozdrowienie, tak piękne, a tyle pamiątek, obrazów z lat dziecięcych i młodzieńczych, z rodzinnej wioski, w sercu wzbudzające: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Dźwięk ojczystej mowy upajał słuchaczów, nasycić się niem nie mogli. Po daniu folgi wzruszeniu, następowała cisza, przerywana czasem tylko westchnieniami lub cichem łkaniem. Misyonarz tłumaczył zatarte w pamięci i w życiu prawdy wiary, aż znowu rzewniejsze jakieś napomnienie lub wspomnienie, poruszywszy do głębi duszy, wyciskało słuchaczom, nieraz i mowcy samemu łzy serdeczne, które zmuszały przerwać naukę na kilka, kilkanaście minut. „Uspokójcie się!“ prosił misyonarz i o czem innem mówić próbował, ale próżne to były próby i starania: nie tylko Polacy, ale rodowici Niemcy, słówka po polsku nie rozumiejący księża miejscowi, płakali rzewnie i powtarzali potem między sobą: „Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widzieliśmy!“

Na ambonę szedł misyonarz z konfesyonału; z ambony wracał do konfesyonału, koło którego w gęstych szeregach stali i starym zwyczajem cisnęli się Polacy. Tu dopiero żniwo było obfite: z głośnego płaczu w czasie spowiedzi, z rozjaśnionej wewnętrznem zadowoleniem twarzy po spowiedzi, poznać można było, że ziarno słowa Bożego nie padało na nieurodzajną ziemię. Niektórzy po 18 godzin z rzędu stali w kościele, czekając, kiedy z kolei zbliżyć się będą mogli do konfesyonalnych kratek. Wielu robotników w *Halli* np. i *Merseburgu,* wyprosiło sobie u dozorców odbycie podwójnego dnia roboczego jednym ciągiem, byle później mogli spokojnie do spowiedzi przygotować się i przystąpić. W *Stassfurcie,* gdzie w kopalniach soli i po okolicznych dworach pracuje około 5000 Pola-

laków, wielu czekało (w sierpniu 1888) na spowiedź od piątej z rana do szótej po południu. Niektórzy, dowiedziawszy się o przybyciu polskiego księdza, przybyli z miejscowości odległych o 10, 15, aż do 24 mil. Inni pracowali od 5-ej z rana do 2-ej po południu; o drugiej, nic jeszcze przez dzień cały w ustach nie mając, wybrali się w drogę piechotą do kościoła w *Stassfurcie*, odległego o dwie mile; tu wyspowiadali się i późnym wieczorem przystąpili do Komunii św. Wiele, zwłaszcza dziewcząt, wypuszczonych z pracy dopiero wieczorem, spieszyły, ile sił starczyło, do kościoła; spowiadały się, nazajutrz o czwartej rano słuchały Mszy św. i komunikowały, a o piątej stały już przy robocie. Podobnie w *Oschersleben* pracowało kilku Polaków na polu od 5-ej z rana do 7-ej wieczorem; następnie przyszli do kościoła, wyspowiadali się i około 9-ej przystąpili do stołu Pańskiego. W *Bernburgu* wszczęła się niewiedzieć skąd, prawdopodobnie z poduszczenia ludzi niemoralnych, którzy dotąd wszechwładnie tu grasowali, silna agitacya przeciw spowiedzi między dziewczętami, sprowadzonemi przeważnie z Poznańskiego. Agitacya nie udała się, a „tak Pan Bóg pobłogosławił, zapisuje nasz misyonarz, że podobnej skruchy jeszcze nie widziałem. Było po nabożeństwie, (wrzesień 1888) kilku protestantów, którzy choć nie wiele rozumieli, jednak patrząc na to, co się dzieje, mówili: *Nein, so etwas bietet uns unsere Kirche doch nicht; da möchte man ja auch katolisch werden.* Od piątej z rana do późnego wieczora, bo do jedenastej w nocy, koło konfesyonałów był ścisk prawdziwie polski; przez cały ten czas dziewczęta śpiewały naprzemian polskie pieśni, modliły się wspólnie, odmawiały głośno różaniec.

Największa religijna obojętność panuje stosunkowo, z wielu, nie trudnych do odgadnienia przyczyn, między Polakami w Berlinie. Wielu zupełnie się w kościele nie pokazuje. Bardzo wielu żyje w dzikich małżeństwach lub zawiera śluby cywilne, a ci ostatni zwłaszcza, z rzadkimi wyjątkami, raz na zawsze dla narodowości swej i wiary straceni. Na trzydzieści kilka tysięcy, osiem, a najwyżej dziesięć tysięcy wykonuje przepisy wiary, przystępuje w czasie wielkanocnym do Sakramentów św. Pomimo tego konfesyonały, na których widnieje napis „po polsku“ zawsze najbardziej oblężone, a dłużej w Berlinie bawiący, dobrze z miejscowymi sto-

sunkami obeznani kapłani zaręczają, że dopiero poznawszy polski język, można tu z prawdziwym pożytkiem w kościele pracować. „Bez polskiego języka — czytam w liście pisanym przez niemieckiego księdza, pracującego w Berlinie — nie ma tu ksiądz co robić. Wszędzie Polaków pełno; a jeśli Polacy będą dobrymi katolikami, to katolicyzm w Berlinie stać się może wielką potęgą. Nigdy nie można, pracując tu, spuścić z oka pewnika, że zapewnienie wierze katolickiej w Berlinie należnego szacunku i wzrostu, zależy na pierwszem miejscu od Polaków".

To samo w pewnej mierze powiedzieć można o okolicach Berlina, w których również ziomków naszych nie mało. Spora ich garstka w *Poczdamie*, wielu w *Charlottenburgu* w fabrykach, a więcej jeszcze koło *Charlottenburga*, zatrudnionych przy kanalizacyi. Ci ostatni dość daleko mają zazwyczaj do kościoła, i dla tego proboszcz z *Charlottenburga* nosi się z myślą wystawienia dla nich osobnej kaplicy we *Wilmersdorfie*, gdzie przeważnie mieszkają. Proboszcz ten, mąż apostolski w całem słowa tego znaczeniu, nauczył się do tyla po polsku, że w niedzielę i święta odczytuje z ambony po polsku lekcyę i ewangelię, a w razie konieczności, od biedy i wyspowiadać potrafi. Łatwo się dorozumieć, jak Polacy mu są wdzięczni, ale i on też szczerze do Polaków się przywiązał, a jeżeli na co się skarżył, to na to chyba, że zbyt gorąca krew płata im czasem figle, i pędzi do nieroztropnych bójek i sprzeczek. Niepodobna ich zwłaszcza powstrzymać, gdy innowiercy wyśmiewają religię i obrzędy katolickie; nie posiadają się wtedy z gniewu i uciekają się do zbyt dosadnych i dotkliwych argumentów, które naturalnem następstwem sprowadzają śledztwa i procesy a ostatecznie grzywny lub kozę. Misyonarz miał dosyć biedy, zanim potrafił przekonać nieodrodnych tych ziomków dawnych *Sodalisów*, którzy za post i Maryę bili, że wyrzec się powinni tego rodzaju argumentów; ostatecznie wszakże uroczyście mu obiecali, że dla miłości Pana Boga będą cierpliwszymi i że na wzór prześladowanych za wiarę Unitów, znosić będą spokojnie szyderstwa, nie będą zważać i mścić się za obelgi.

Czem wiara jest dla polskich naszych wędrowców, jaką pocieszającą i krzepiącą rolę w życiu ich odgrywa, a obcych buduje, tego najlepszy obraz i dowód dała przedsiewzięta w czerwcu i lipcu b. r. pasterska wizyta fuldajskiego biskupa, Dr. *Józefa Weylanda*

w saskiej *diasporze*, w zastępstwie chorego biskupa *Padernborskiego*. Naprzód przed biskupem — jako goniec wesołej wieści — wyjechał ksiądz polski, do bierzmowania gotować, spowiadać. Pierwsza stacya przypadła mu bezpośrednio przed świętem Bożego Ciała w *Huysburgu*. Urocza to miejscowość! Wielki, pobenedyktyński kościół, nad całą okolicą panujący, stoi na górze, w pośród bukowego lasu, rozciągającego się na 4000 morgów. Z okien swego mieszkania widział misyonarz rysujący się w dali o siedem mil odległy *Magdeburg*; z dołu dolatywał go, rzekłbyś na odpuście w Piekarach lub Gostyniu, pobożny śpiew polskich dziewcząt, które po robocie długo w noc pletły wieńce dla przyozdobienia kościoła na zbliżające się uroczystości. Dzięki ich staraniom, wspaniała świątynia w nowej okazała się szacie; zmieniła się, jak z uznaniem się wyrażono, w prześliczny ogród. Lecz zostawmy lepiej słowo samemu misyonarzowi, który w liście do jednego z przyjaciół, tak pod świeżem wrażeniem, „polskie to święto“ opisuje:

„Boże Ciało w tym roku zostanie zawsze dla mnie najmilszem wspomnieniem. W około wszędzie rozeszła się wieść: Ksiądz polski jest w *Huysburgu*. We środę już, w wilię Bożego Ciała zaczęli się Polacy schodzić do spowiedzi; rozpocząłem spowiadać o 5-ej po południu, wyszedłem z konfesyonału dziesięć minut przed północą; spałem smacznie, gdy wtem o czwartej z rana stary dziekan puka do drzwi i woła: „Księże! w kościele pełno Polaków i Polek; wszyscy chcą się spowiadać“. Znużenia nie czułem, i poszedłem zaraz do konfesyonału; o dziewiątej odprawiłem sumę, po sumie dziekan miał krótkie niemieckie kazanie, a następnie, na wielką pociechę Polaków, poprowadziłem procesyę. Lekcyę, ewangelie, modlitwy kościelne śpiewałem zupełnie jak u nas. W czasie procesyi zapomnieć można było, że znajdujemy się w protestanckim kraju. Uroczysty pochód z N. Sakramentem posuwał się zwolna wśród prześlicznej pogody, w wspaniałym lesie bukowym, a trwał półtrzeciej godziny. Strzelali, muzyka grała pobożne pieśni. Niemcy śpiewali swoje pieśni, Polacy w pewnem oddaleniu swoje, te wszystkie, które i u nas śpiewają na procesyi Bożego Ciała; dwa te chóry nie kłóciły się, lecz przeciwnie dostrajały się do wspólnej, pięknej harmonii. Wielu protestantów szło z ciekawości za procesyą, ale wszyscy zachowali się bardzo przyzwoicie. Polaków było

mniej więcej 3000. Po procesyi, o pół do pierwszej, wszedłem na ambonę i rozpocząłem kazanie od słów pieśni „Twoja cześć, chwała, nasz wieczny Panie!“ Trudno tę chwilę opisać; teraz mi się jeszcze na płacz zbiera. Tak płakali, łkali, że ledwie mówić mogłem; Niemcy, którzy nie odeszli, równie jak małe dzieci płakali. Dziekan powiedział mi: „Po południu urządź czysto polskie nabożeństwo!“ Rozpocząłem o trzeciej po południu od kazania. Kościół bardzo wielki, liczący wzdłuż 90 kroków, był aż do prezbiteryum nabity. Pan Bóg widocznie błogosławił; spowiedzi trwały do wieczora. I to dodać trzeba na pochwałę Polaków, że po skończonem nabożeństwie wrócili cicho i spokojnie do domu, chociaż do lasu ciągnęły ich różne, odbywające się tam gry i zabawy“...

„We czwartek, — czytamy w następnym liście, — 27 czerwca, wieczorem pojechałem do *Halli*, aby tu znów gotować Polaków do bierzmowania. Przez cały ten czas, po dwanaście, niekiedy i po piętnaście godzin siedzieć trzeba było w konfesyonale. W dzień Serca Pana Jezusa, myślą i duszą łączyłem się z Wami, z Krakowem; ciężko mi tu było na sercu, bo nabożeństwa uroczystszego nie było. Wieczorem jednak, o ósmej, Polacy licznie na moje wezwanie pospieszyli do kościoła. Miałem do nich kazanie o błogosławieństwach, obiecanych czcicielom Serca Jezusowego; potem śpiewaliśmy wspólnie: „Święty Boże“ i „Twoja cześć chwała“, bo to najlepiej umieją. Odmówiliśmy akt poświęcenia się i przeproszenia Serca Jezusowego..., w tym samym może czasie, gdy i Wy odmawialiście go razem, publicznie... Wszyscy nadzwyczaj byli zadowoleni“.

„Wieczorem, w dzień św. Piotra i Pawła, przybył biskup z *Fuldy*. Bardzo uprzejmy, poważny, dość silnie zbudowany, wysoki. Nie byłem przy przyjęciu, bo za wielu na spowiedź czekało; o samej północy skończyłem spowiadać. Kobiety i dziewczęta nocowały w kościele; mężczyźni przed kościołem. Nazajutrz, w niedzielę biskup bierzmował. Koło ósmej zrana wyprowadziłem wszystkich Polaków na dziedziniec przed kościołem, bo sam kościół był za mały, i dwa razy do nich przemawiałem. „Zachowujcież porządek, prosiłem, trzymajcie się w szeregach, wszystkich oczy teraz na was zwrócone“. W czasie samego bierzmowania stałem na ambonie, głośno po polsku się modliłem i zachęcałem do gorącej

modlitwy i do utrzymania porządku. Wszystko mimo ścisku poszło jak najlepiej. O wpół do drugiej, gdy biskup, skończywszy bierzmować, do ołtarza powrócił, zapytałem z ambony:

— „Czy chcecie, abym teraz poprosił księdza biskupa o błogosławieństwo?"

— „Chcemy, chcemy!" — zabrzmiały zewsząd okrzyki.

Zwróciłem się do biskupa i przemówiłem do niego po niemiecku, wśród ogólnego płaczu i łkania:

— „Najprzewielebniejszy księże biskupie! Popatrz łaskawie na ten lud, który przybył tu z dalekich stron, ciężką przeważnie potrzebą zmuszony, aby zapracować sobie na kawałek powszedniego chleba. Ciężka ich dola: brak im opieki ojca, matki, rodziny; zewsząd i wszędzie grożą im niebezpieczeństwa. W ich imieniu dziękuję Ci Dostojny Pasterzu, za wzmocnienie ich przez Sakrament Bierzmowania; ich płacz i łzy niech Ci będą dowodem, jaką wdzięczność za to dobrodziejstwo w sercach chowają. Pobłogosław biednym tym dzieciom! Niech błogosławieństwo Twoje zastąpi im błogosławieństwo nieobecnych rodziców!"...

„Biskup rozpłakał się jak dziecko; wszyscy obecni księża również płakali. Gdy biskup wyszedł z kościoła, obstąpili go Polacy, całowali po rękach, nogach, z płaczem dziękując; po dziesięciu zaledwie minutach mógł się przez wdzięczny ten tłum przedostać. Na wielkim obiedzie danym dla biskupa, zgromadziło się księży 11, katolickich panów 110; ja chciałem u siebie wypocząć, ale nadbiegł jeden z księży i siłą niemal zmusił iść za sobą. Po toastach na cześć papieża, cesarza i biskupów, fuldajskiego i padernborskiego, wstał proboszcz z *Erfurtu:*

„Towarzyszę — mówił z rozrzewnieniem — Najprz. księdzu biskupowi przez cały czas odbywającej się pasterskiej wizytacyi; wszędzie spotykałem się z pięknymi objawami wiary i miłości, ale wyznać muszę, czegoś podobnego jak dziś nie widziałem. Myślę tu i mówię o Polakach, o ich wierze, o miłości biskupowi okazanej. Mężczyzna rzadko płacze i popisywać się tem nie lubi; dziś jednak nie wstydzę się przyznać publicznie, że i ja rzewnie płakałem, patrząc na wiarę, na zachowanie się tego poczciwego, wiernego ludu".

„Musiałem odpowiedzieć, zwłaszcza, że proboszcz z *Merse-*

burga wniósł toast na moją cześć. Nie wnosząc żadnego toastu, rzekłem tylko:

„Serce i obowiązek domaga się, abym wyraził najżywszą wdzięczność za okazane tu dowody przychylności. Przyznaję, że za łaską Bożą gotów jestem do wszelkich ofiar dla polskiego ludu, który zresztą umie ofiary te ułatwić, bo umie być wdzięcznym. Jestem Berlińczyk, ale kocham ich jako rodaków; cieszę się, że tak ich tu nazwano, bo gorliwość ich dla chwały Bożej, ich wiara silna, wdzięczność niemal bez granic, zmusza ich kochać. Aby ta miłość i tutaj nie na słowach tylko się ograniczyła, niech wolno mi będzie użyć tej okazyi i prosić wszystkich licznie tu zgromadzonych panów o opiekę, o uczynną miłość dla tych biednych, których cnota i wiara nieraz na silne a liczne niebezpieczeństwa jest narażoną. Odzywam się do serc ojców, dzieci swe kochających, a pod których władzą i rozkazami zostają Polacy przeważnie w wieku młodym, wszelkiej innej opieki pozbawieni. Proszę gorąco o to, aby przynajmniej w niedziele i święta iść mogli do kościoła; abyście do domów, w których mieszkają, wzbraniali wstępu złoczyńcom, czyhającym na ich niewinność. W ten sposób dacie sobie świadectwo, że obojętnemi wam nie są najświętsze prawa człowieka“.

„Zgromadzeni odpowiedzieli na tę moją prośbę długotrwającymi oklaskami. Pod koniec obiadu wstał raz jeszcze ks. biskup: „Moi Panowie! wiele w życiu tem widziałem, nieraz świadkiem byłem scen bardzo wzruszających, ale czegoś podobnego jak dzisiaj, — mówię tu o zachowaniu się Polaków — nigdy, nigdy jeszcze nie widziałem. O takich scenach, jakich dziś byliśmy świadkami, nie miałem wyobrażenia. Dowód to, jak ten lud kocha swą wiarę. Chciałbym tu jeszcze coś dodać; mam właściwe, odpowiednie słowo na języku, ale może lepiej wiele nie mówić, a raczej prosić Boga, aby był im miłościwy...“

„Nie wiedziałem, że przy stole siedziało kilku Polaków, urzędników; wyobrazić sobie można ich radość i słuszną dumę. Później jeszcze biskup wyraził kilkakrotnie w rozmowie wielkie swe zadowolenie. W *Halli* wybierzmował razem 1300 osób, a między nimi może 800 Polaków“.

„W poniedziałek 1 lipca pojechałem do *Helbry* i do *Eisle-*

ben. Tu czekała mię największa praca. W nocy przed bierzmowaniem siedziałem w *Eisleben* do wpół do trzeciej w konfesyonale... Policya tak w *Eisleben* jak i w *Helbrze* dozwoliła na uroczysty pochód. *Eisleben*, miejsce urodzenia i śmierci Lutra, ma 23.000 mieszkańców; 600—700 katolików narodowości niemieckiej, 1500 Polaków, a prócz tego dziewczęta polskie pracują wszędzie w okolicy po dworach. Wyszli naprzeciw biskupa może na półtora kilometra; droga przybrana była w łuki tryumfalne, muzyka grała; w procesyi wzięło udział bardzo wielu protestantów, tak, że liczono do 16.000 ludzi... Wieczorem w ogrodzie proboszcza wielka illuminacya, śpiewy; Polacy szli razem z wielkiemi świecami w ręku. Biskup przemawiał i dziękował z pierwszego piętra; potem prosił, abym to samo Polakom powtórzył. Nazajutrz bierzmowanie; poprowadziłem Polaków procesyonalnie; słowem wszystko odbyło się podobnie jak w *Halli*... Do *Helbry* przyjechał mi na pomoc jeden ksiądz tutejszy, który się już tyle po polsku nauczył, że może spowiedzi słuchać; ci, którzy choć z kiepska umieli po niemiecku, musieli się spowiadać u niemieckich księży. Do bierzmowania przystąpiło 1700, a między tymi do 1200 Polaków. ...I tu biskup przemawiał po niemiecku; ja tłumaczyłem na polskie, a potem dodałem: „I ja życzę Wam, aby błogosławieństwo Boże towarzyszyło Wam zawsze w ciężkiej pracy waszej. Teraz zaś podziękujmy księdzu biskupowi i zawołajmy po polsku: „Niech żyje nam!“ — Cała *Helbra* zatrzęsła się na ten gromki okrzyk, podniesiony z trzech tysięcy piersi... I taka mowa — mówił mi przy innej okoliczności, jeden z tutejszych księży, który bardzo pilnie słuchał polskiego kazania; — taka mowa miałaby zaginąć?! Nie! nigdy, przenigdy!“

Wesołe to, rzecby można tryumfalne kartki z dziejów polskiego wychodźtwa w Niemczech, choć i tu z poza tego wesołego obrazu smętne tło przegląda; ale ileż obok, tą samą ręką spisanych, równie rozrzewniających, lecz wręcz już smutnych, czasem czarnych kartek! W katolickiej, z prywatnego miłosierdzia założonej i utrzymywanej ochronce w *Oschersleben*, znalazło dotąd przytułek blisko dwieście polskich dzieci, sierót, lub od rodziców opuszczonych, które inaczej byłyby wystawione na pewną zgubę. Proboszcz

i zawiadowca ochronki ks. *Harbort*, przyniósł sam na własnych rękach kilka biednych tych istot, a wszystkimi prawdziwie po ojcowsku się opiekuje. Żal i litość serdeczna brała patrząc np. na dwuletnią *Paulinkę Figaszewską*, która tylko miłosierdziu proboszcza, nowego *Dom Bosca*, jak go tutaj słusznie nazywają, zawdzięcza życie, i to w najściślejszem tego słowa znaczeniu. Gdy biskup zwiedzał ochronkę, przyprowadzono do niego Paulinkę i drugą pięcioletnią jej koleżankę; rozrzewniający to był do łez widok, gdy sędziwy pasterz, sam głęboko wzruszony, błogosławił dwom tym wygnankom — sierotom. Protestanci nawet nie kryją podziwu dla miłosiernego kapłana; przysyłają chleb, jarzyny, kartofle dla sierot. I misyonarz nasz domaga się kilkakrotnie w swych listach pomocy dla tego domu, który istnieje i utrzymuje się litością ludzką, Opatrznością Bożą. „Piękny to byłby uczynek miłosierdzia, gdyby znalazło się w Polsce litościwe jakie serce i wesprzeć zechciało ten zakład wedle ducha Bożego kierowany, a w którym tyle polskich sierot tak chętną, macierzyńską znajduje opiekę“.

Po paru dniach ciężkiej pracy w *Oschersleben* wyjechał nasz misyonarz pewnego majowego dnia po południu na parę godzin odpoczynku do *Hadmersleben*, do jednego z okolicznych proboszczów. Zaledwie przed probostwem wysiadł, przybiega jakiś mężczyzna, protestant, i woła: „Księże! chodź prędko, w koszarach dziewcząt (tak się to tam nazywa) umiera młoda Polka, która ani słowa po niemiecku nie umie; straciła już mowę, ale jeszcze przytomna!“ — „Natychmiast“ — opowiada misyonarz — poszedłem, a raczej pobiegłem z olejami św. i z Panem Jezusem. Młoda, szesnastoletnia dziewczyna, która po raz pierwszy wyjechała do Niemiec, leżała bez nadziei wyzdrowienia. Podszedłszy do niej, rzekłem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Co się z biedaczką działo, gdy posłyszała polską mowę!... prawdziwie smutek odmienił się w wesele. Choć zapewniano mię, że mowę postradała, radość widać najskuteczniejszem okazała się lekarstwem, bo odpowiedziała wyraźnie: „Na wieki wieków. Amen;“ wyspowiadała się, a potem z wielkiem nabożeństwem przyjęła Pana Jezusa. Miałem na szczęście przy sobie ładny szkaplerzyk Serca Jezusowego i włożyłem go chorej na piersi, z czego i ona i otaczające ją polskie

dziewczęta niezmiernie się ucieszyły. Dobre to było dziecko, poczciwe, pobożne!...“

A nie łatwo niestety! w tych koszarach, w fabrykach, przechować niewinne serce, poczciwość, pobożność! Patrząc na wiele polskich dziewcząt, jak w niedzielę spacerują po ulicach, ubrane wedle najświeższej mody, żal zbiera i zbyt usprawiedliwione pytanie się nasuwa: „Czy te stroje, kapelusze, rękawiczki pochodzą z godziwego źródła?“ Niemoralni inspektorzy, dozorcy, okropne szerzą spustoszenie; póty dokuczają, biją, odmawiają zarobku i kawałka chleba, póki oporu nie złamią. W jednych koszarach wybuchł tyfus z powodu niemoralnego życia; sprowadzono siostry miłosierdzia dla pilnowania chorych, i one dopiero w nagrodę za swe poświęcenie, wyprosiły, że większą odtąd zwrócono baczność na usunięcie źródła strasznej zarazy. Niektóre z tych domów bardzo wzorowo są prowadzone, ścisła w nich przestrzeganą jest klauzura; ale takich dotąd nie wiele. Czasem na czynione przedstawienia spotkać się nawet można z cyniczną uwagą: „Co nam do moralności naszych robotników; dość się namęczą, niechaj trochę użyją“. Wrzekomi ci przyjaciele, a raczej najsrożsi wrogowie, którzy dążą chyba do wytępienia Polaków, środkami użytymi ze skutkiem do zgładzenia amerykańskich Indyan, igrają sobie zarazem zazwyczaj, naturalną rzeczy konsekwencyą z najświętszemi uczuciami ludu naszego, i usiłują systematycznie w nim podkopać wiarę, odzwyczaić go od religijnych praktyk, nie zważając, że w ten sposób pracują właściwie dla socyalizmu, i sami na siebie broń kują. W niektórych miejscowościach sroży się w tym kierunku formalne prześladowanie, które zdawałoby się, z zamierzchłej przeszłości wyrwane, nigdzie dziś w humanitarnej Europie, najmniej w szczycących się tolerancyą i kulturą Niemczech, miejsca by mieć nie mogło.

Znajdują się właściciele, ale częściej jeszcze zarządzcy dóbr, dozorcy, którzy bez jakiejkolwiek nawet ważniejszej racyi, zmuszają Polaków i Polki do całodziennej ciężkiej pracy w niedziele i katolickie święta. Tak np. piętnaście dziewcząt, pracujących przy uprawie buraków u niemieckich właścicieli, których nazwiska moglibyśmy tu wymienić, wybrały się w uroczyste święto Narodzenia Matki Bożej roku zeszłego, do kościoła na mszę. Panowie dowiedziawszy się o tem, wpadli w istną wściekłość: jeden wybiegł na-

przeciw wracającym i zagroził: „Za to, żeście do kościoła poszły, nie otrzymacie za cały tydzień zapłaty;“ brat jego, snać energiczniejszy, nie kontentując się groźbami, wszystkie dziewczęta, które były w kościele, okrutnie wybił. — „Płakać się nam chciało — mówili miejscowi proboszczowie, fakt ten opowiadając — a poczciwe dziewczęta bez skargi i użalenia o tem nam mówiły“. W innem miejscu około sto polskich robotników nie chciało w niedzielę pracować. Właściciel sprowadził żandarmów, którzy stojąc z bronią w ręku, zagrozili, że użyć jej gotowi w razie dalszego oporu. Groźby nie poskutkowały i żandarmi ze wstydem musieli się oddalić, ale właściciel wypowiedział natychmiast upartym Polakom dalszą pracę. Wypędzeni, inną pracę bez trudności znaleźli; natomiast nieludzkiemu panu zmarzło w tym czasie za sprawiedliwem dopuszczeniem Bożem 500 morgów buraków. „Nie do opisania — donosi misyonarz w lipcu b. r. — co w niektórych miejscowościach biedne dziewczęta mają do cierpienia. Wiem o miejscach, w których zdane są one na łaskę i niełaskę podrzędnych, zupełnie podrzędnych urzędników, nieokrzesanych dozorców; dla okazania swej władzy, z nienawiści dla katolickiej religii, lub po prostu dla psoty, pędzą oni dziewczęta polskie do roboty w niedziele i święta, a gdy biedaczki proszą, aby je w ten dzień od pracy zwolniono, lub próbują stawić opór, biją je bez miłosierdzia, i jak bydło, batem do roboty pędzą. „Nie przyjdziesz w niedzielę, mówić zwykli dozorcy w kilku fabrykach, nie masz po co i w poniedziałek przychodzić“.

„Nieszczęśliwe te stworzenia, nie umiejąc po niemiecku, przed nikim użalić się nie mogą. Przeciw tym bezprawiom występować trzeba koniecznie, śmiało, energicznie... Widząc raz z ambony, jak polski dozorca tłomaczył me słowa o święceniu niedziel niemieckiemu jakiemuś właścicielowi, a ten śmiał się głośno, przerwałem polskie kazanie i zawołałem po niemiecku: „Biada tym panom, którzy ludziom nie dozwalają chodzić do kościoła; to wychowawcy, nauczyciele socyalistów. Nie uważacie na słowa Chrystusa; patrzcież przynajmniej na przykład cesarza, który zawsze i sumiennie dzień święty święci...“ Istotnie zmiana w tej mierze musi nastąpić i da Bóg nastąpi, tem bardziej, że sami właściciele dóbr i kopalń, w ogóle mówiąc, nie myślą i nie chcą zadawać gwałtu sumieniom. Za mało tylko podobno wiedzą, co się dzieje w ich imieniu; nie

wie o tem rząd, nie wie opinia publiczna. Dziś, gdy różne sprawki wyszły na jaw, proboszczowie postanowili wziąść w rękę obronę uciśnionych; polecili Polakom donosić sobie natychmiast o każdej niesłusznej, w przystępie złego humoru doraźnie wymierzonej karze, o biciu, o odciąganiu zasług i wydalaniu bez racyi, i udawać się będą ze skargami do samych właścicieli, a jeśli to nie pomoże, do niemieckich gazet — bo gazet najbardziej się może boją tutejsi dozorcy".

Obrona wychodźców na całej linii przedsięwzięta, przeciw najjaskrawszym przynajmniej nadużyciom, nie może zostać bez skutku, tembardziej, że panowie niemieccy umieją sobie cenić polskiego robotnika, i gdyby go im zabrakło, w niemałym znaleźliby się kłopocie. Okazało się to najlepiej, gdy „Ewangeliczny Związek", założony jak wiadomo dla prowadzenia walki z katolickim Kościołem, wyraził obawę, aby katolicyzm nie szerzył się w ojczyźnie Lutra przez Polaków, i wystąpił wprost z hasłem: „Polaków nie sprowadzajcie". Jeden z najwyższych urzędników górniczych odpowiedział na to: „Nie pytamy, czy kto katolik, luter lub kalwin, ale czy dobry górnik, a Polacy bez wątpienia najlepszymi są górnikami". „Biorę Polaków, mówił pewien niemiecki właściciel do jednego z księży, bo są najlepszymi robotnikami i nie kradną". Paru posłów, którzy w parlamencie głosowali za wypędzeniem Polaków, sprowadzają ich dziś do siebie w głąb Niemiec, aż z pod Częstochowy. „Tu strejków nie było, a nie było dla tego, przyznawał wyższy urzędnik kopalni w *Helbrze*, bo mieliśmy dwóch księży, którzy mówili ludziom o posłuszeństwie winnem Bogu i ludziom". Ale jeśli i nadal posiew socyalizmu, hojną dłonią rzucany między polskich wychodźców, wypleniać ma i niszczyć w zarodku silna ich wiara; jeśli i nadal uczciwą a wytrwałą pracą mają się odznaczać, — to sami niemieccy właściciele, zarządcy dóbr, zawiadowcy fabryk i kopalń, jeśli nie z innych wyższych pobudek, z własnego przynajmniej interesu winni stać na straży religijnych przekonań i obyczajów zatrudnionych u siebie robotników; winni już nie utrudniać, lecz owszem ułatwiać ze swej strony zachowanie Bożych przykazań, kościelnych przepisów.

Praca polskich i dopomagających im szczerze niemieckich kapłanów w ostatnich paru latach, praca polskich pism ludowych,

dobra wola kilku poczciwych panów niemieckich, którzy choć protestanci, nie zapomnieli napomnienia cesarza Wilhelma, i ludowi religię zachować pragną, przyniosła już skutki: dziś saskie i westfalskie kościoły za małe, aby objąć cisnących się do nich Polaków; publiczne zgorszenia i pijaństwa w znacznej części ustały, i co tego naturalnym wynikiem, mozolnie zapracowany grosz nie wraca niby z góry toczącym się strumieniem, do niemieckich lub żydowskich kieszeni. To początek dopiero; wiele, bardzo jeszcze wiele do zrobienia zostaje, jeśli rodacy nasi w Niemczech nie mają utracić i wiary i narodowości. Dość już dotąd obu tych skarbów stracili; dość apostatów, dość nieszczęśliwych, których pokusa ku apostazyi ciągnie, i tych, którzy dziś jeszcze powtarzają: „Nam ni żyć, ni umrzeć“, a na zapytanie: „Czem wy, i jakie imię wasze, gdzie ojczyzna wasza, gdzie dom wasz? upuszczają łzę jakoby mętnego wspomnienia“ — ale jutro może na to samo zapytanie „podniosą w górę oczy pełne podziwu“, i bez sił na ziemi, bez nadziei w niebo, powiedzą: Nie mamy czasu modlić się do Boga... aż jedni zawołają: „Równość i mord!“ drudzy: „Gdzie dobrze, tam ojczyzna, i żyj pókiś na świecie!...“ Rodacy nasi, po Niemczech rozsypani, stąpają nad samym brzegiem różnych tych, ale równie śmiercią grożących przepaści; pod stopami wielu grunt się już usunął, usuwa. Podać im koniecznie potrzeba pomocną rękę, wskazać niebezpieczeństwa, nauczyć jak ich unikać, lub z nimi walczyć; zapalać w sercach rozświecający ciemności, chroniący od najzgubniejszej z pokus — chłodu egoizmu — znicz miłości Bożej, rodziny, rodzinnego kraju. Taka akcya ratunkowa, na szersze niż dotąd przedsięwzięta rozmiary, bardziej o ile można zorganizowana, i na stalszych oparta podstawach, niezbędnie jest konieczną; uznają to jednogłośnie wszyscy, którzy mieli sposobność bliżej przypatrzeć się polskiej emigracyi w Niemczech.

Jak, gdzie, w jakim kierunku można i należałoby, mówiąc praktycznie, akcyę tę podjąć? Radykalne lekarswo jedno tu tylko możliwe: wyzyskać bogactwa, jakie Bóg w ziemi naszej złożył, zakładać fabryki, rozwinąć przemysł, słowem, zapewnić w własnym kraju pracę tym tysiącom, które pracy dla życia potrzebują, a dziś szukają jej w Niemczech, w Ameryce... Ale to daleka przyszłość, która w dniu dzisiejszym ledwie z za gęstej mgły przeziera; obe-

enie o zupełnem wstrzymaniu emigracyi, w obec najbardziej ze wszystkch piekącej kwestyi codziennego chleba, i mówić trudno; o czem może i powinna być mowa, to o uregulowaniu na wszystkie strony rozlewającego się strumienia emigracyi; o zabezpieczeniu wychodźców przed niesumiennymi ajentami, szachrajskim wyzyskiem; o wywalczeniu i zabezpieczeniu im na obczyźnie praw katolika, praw człowieka. Jak stowarzyszenie św. Rafała opiekuje się tymi, którzy zmuszeni koniecznością, wędrują do Ameryki; uwalnia i tak dość zazwyczaj nieszczęśliwych emigrantów z rąk oszustów, stara się dla nich o możliwie tani a wygodny przejazd, kieruje pierwszymi ich krokami na drugiej półkuli, — tak i dla naszych rodaków szukających pracy w Niemczech, należałoby koniecznie założyć podobne stowarzyszenie, oparte na podobnych, jeśli nie tych samych zasadach. Kilku ludzi dobrej woli z niewielkimi środkami w ręku, które w danym razie możnaby uzyskać z wszelką słusznością i od samych wychodźców, ocaliłoby tysiące i materyalnie i moralnie. Prasa, na pierwszem miejscu prasa ludowa, ważną tu również odegrać powinna rolę, z której zresztą w pewnej mierze i dziś już się wywiązuje: ostrzegając przed niebezpieczeństwami, wskazując, w których miejscowościch i okolicach najpomyślniejsze dla Polaków istnieją warunki pracy, najmniejsza obawa zatracenia z domu wyniesionych przekonań; biorąc wreszcie w obronę wyzyskiwanych, prześladowanych.

A tam, gdzie gromadzą się nasi wychodźcy: w Westfalii, w Saksonii, w Berlinie i koło Berlina, jakie najgwałtowniejsze potrzeby, jakich środków użyć, aby im wedle możności zapobiec? Wielki tam zwłaszcza brak, wielka potrzeba księży polskich. Wszyscy niemal kapłani, pracujący w tak zwanej „delegaturze“ berlińskiej, domagają się i proszą na wszystko, aby i do nich, choć na czas krótki, zawitał ksiądz, mówiący po polsku. „Nie poznałem — zapisuje w jednym z swych listów nasz polski misyonarz — ani jednego księdza z delegatury, a poznałem ich około pięćdziesięciu, który nie wyraziłby pragnienia: „przyjedź do moich Polaków“. Niezbędnie tu potrzebne ciągłe misye, a obok misyj, trzy przynajmniej lub cztery stałe polskie kapelanie. Koniecznem jest obmyślenie stałej pomocy dla bardzo ubogiego przytułku dla sierót w *Oschersleben*. Koniecznem zainteresowanie się polskiemi stowarzyszeniami

w głębi Niemiec, z których niektóre upadły, inne walczą między życiem a śmiercią; koniecznem założenie polskich czytelni w tych przynajmniej miejscowościach, w których regularnie pracuje parę tysięcy Polaków; koniecznem, co już gdzieniegdzie weszło w praktykę, oddanie koszar, w których mieszka po 100, 150 i więcej dziewcząt, pod zarząd kobiet starszych a moralnych, najlepiej tercyarek znanych i poleconych przez proboszczów. Nadzwyczaj ważną a pożyteczną rzeczą byłoby, aby księża szląscy i poznańscy zawiązali stosunki z księżmi saskimi, westfalskimi i t. d., i dowiadywali się od nich o postępowaniu swych parafian, a tak po powrocie ich do domu mogli z pełną znajomością rzeczy, pracować nad ich poprawą, lub w danym razie, strzec i ostrzegać zdrowe swe owieczki przed parszywemi...

Obszerny to, a niełatwy do spełnienia program; długi szereg życzeń, a przecież podaliśmy tylko najważniejsze, od których spełnienia zależy dla parukroćstotysięcy Polaków rozwiązanie prawdziwie hamletowego pytania: „być lub nie być“. I gorzej, niż „nie być“, bo wychodźca, który w Niemczech stracił język, i w wiosce rodzinnej lichą niemiecką paplaniną się chełpi, karykaturę niemieckich zwyczajów w dom swój wprowadza, o wiele bardziej i w gorszym kierunku przyczynia się do wynarodowienia, niż wprost z Niemiec, przez rządową komisyę sprowadzony kolonista. Parobek, dziewczyna, którzy nasłuchali się najzgubniejszych teoryj, a choć przez pół tylko je zrozumieli, z tem większem pożądaniem wyciągają rękę po wiszący gdzieś w oddali, nieuchwytny, zakazany owoc; którzy nie zostawszy protestantami, przestali być, jak byli i są ich ojcowie, wierzącymi, praktykującymi katolikami; przypatrywać się musieli złemu występującemu bezkarnie w całej nagości, a wciąż patrząc, przytępili w sercu poczucie cnoty, jeśli jeszcze ze wstydu zupełnie się nie wyzuli; — taki nieszczęśliwy, nieszczęśliwa, to dla swej chaty, dla chat sąsiednich, prawdziwie morowa dziewica, co stąpa kroki złowieszczymi, serca zmienia w pustynie, gdzie nogą stąpi, świeży grób moralny wyrasta. Nietylko więc ze względu na tych, którzy zarazę niosą, ale niemniej i ze względu na tych, którym ona grozi, użyć należy koniecznie odpowiednich, choćby

trudniejszych do wprowadzenia w życie, niż są w rzeczywistości, środków i lekarstw, w celu zmniejszenia siły tej z zbyt wielką już potęgą, na zbyt szerokie rozmiary grasującej, rzecby można, elementarnej klęski, przynajmniej utrzymania jej w pewnych granicach. Za wielkie tu w grę wchodzą interesa, same podwaliny społeczeństwa naszego zanadto zagrożone, by nie należało zwrócić w tę stronę — ku zachodnim kresom — naszej uwagi, sympatyi, a w miarę możności i potrzeby, i czynnej pomocy. Zasuwamy się na kresach tych z dnia na dzień nie w zorzę, lecz w ciemnię; choć z boleścią spojrzeć trzeba w tę nową, otwierającą się pod stopami naszemi ciemną przepaść i oświecić ją nie błędnym tylko ogniskiem próżnego żalu, ale iskrami wykrzesanemi z hartownej miłością „czynów stali“.